WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 136 15 XI 1988 r. Cena 25 zł

W KRĘGU CZARODZIEJÓW

Nie ma chyba kraju, gdzie sztuki magiczne nie miałyby swoich zaprzysiężonych wielbicieli. Czarodzieje w cylindrach to nieodłączny niemal punkt każdego programu cyrkowego. Iluzjonista to aktor w roli maga, który za pomocą swej sztuki dokonuje „cudów", ujarzmia prawa natury, odgaduje myśli, spełnia życzenia itp. Tajniki sztuki iluzjonistycznej nie są zastrzeżone jedynie dla dorosłych. Na Kongresie Iluzjonistów, który odbył się w dniach 7–9 października br. w Łódzkim Domu Kultury spotkałem wielu bardzo młodych adeptów „czarnej magii". Kongres był dla nich ważnym wydarzeniem. Nie tylko dlatego, że mogli poznać wielu znanych artystów z Polski, Holandii, Austrii, Szwajcarii, Węgier, RFN, NRD, Bułgarii i Związku Radzieckiego, ale przede wszystkim dlatego, że na seminariach mogli dowiedzieć się o wielu nowych, ciekawych trikach i lepiej poznać iluzjonistyczną kuchnię.

CIĄG DALSZY NA STR. 4–5

IV Ogólnopolskie Harcerskie Biegi Przełajowe

„Po złoty liść jesieni" Grudziądz '88

szczegóły na str. 4–5

Byle tylko pomogło...

(PAP). *„Jeśli chcecie pozbyć się stresów, jęczcie, ile dusza zapragnie"* — radzą niektórzy amerykańscy psychiatrzy, polecając ten prosty sposób leczenia stanów depresji nerwowej.

Skuteczność tego rodzaju terapii potwierdzają wyniki badań przeprowadzonych w jednej z klinik amerykańskich, która podjęła się udziału w eksperymencie. Polegał on na tym, że pacjenci leżąc na podłodze wydawali jęki pełnym głosem przez 15 min. w czasie jednego seansu.

Po zakończeniu cyklu „zabiegów" twierdzili, że czują się jak „nowo narodzeni".

Nie tylko disco

Fot. J. Łopuszyński

Krzysztof nie umiał tańczyć wcale, Ewa tylko tańce solowe, a Marek tańczył wszystko po trochu, gdyż skończył już trzy różne kursy. Wszyscy spotkali się na kursie tańca towarzyskiego w Stołecznym Domu Kultury przy ul. Elektoralnej. Jak wyglądają tam zajęcia, czego można się nauczyć oraz jakie korzyści z tego wynikają — dowiecie się z ich relacji, którą przedstawiamy na str. 4.

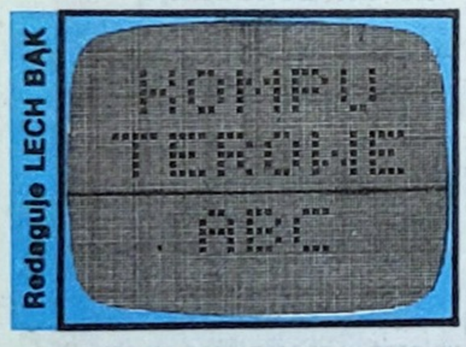

POZNAJEMY KOMPUTERY

COMPAQ PORTABLE III

Mikroprocesor: 80286.

Częstotliwość zegara: 12MHz.

Pamięć RAM: 640KB rozszerzalna do 6.6MB KB

Pamięć ROM: 64 KB.

Monitor: ciekłokrystaliczny monochromatyczny.

Tryby wyświetlania: graficzny: (CGA) 640×200 dwa odcienie szarości, 320×200 cztery odcienie szarości oraz 640×400 dwa odcienie szarości, tekstowy: 80×25.

Sprzęgi (interface): równoległy drukarki, szeregowy RS232-C.

Pamięć zewnętrzna: dyskietki 3 1/2 cala 720KB oraz dysk stały 20MB lub 40MB.

Przeznaczenie: profesjonalny komputer przenośny.

Oprogramowanie: system operacyjny: MS DOS, całe oprogramowanie dla komputera IMB AT.

Uwagi: firma COMPAQ słynie ze swoich przenośnych komputerów zgodnych z IBM PC/XT/AT. Do zalet tych komputerów (w porównaniu z innymi przenośnymi zgodnymi z IBM) należy zaliczyć przede wszystkim szybkość działania. Uzyskuje się ją poprzez instalowanie bardzo szybkich mikroprocesorów, pamięci RAM i dysków stałych. Oczywiście, aby to wszystko można było zainstalować w jednym komputerze, potrzebny jest bardzo dobry projekt, a to potrafią zrobić konstruktorzy firmy COMPAQ.

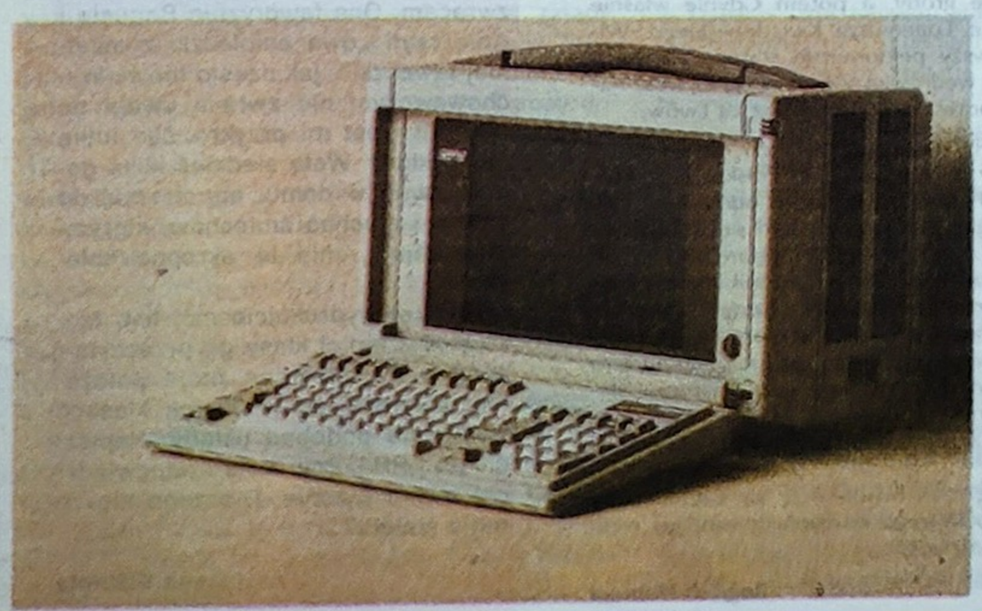

Czarodziejski kubek

(PAP). W Wielkiej Brytanii wymyślono rzecz niezwykłą. Jest to kubek, w którym można zagrzać wodę. Fakt ten sam w sobie nie stanowi rewelacji, jednak sposób, w jaki otrzymuje się wrzątek, do tuzinkowych nie należy. Oto krótka instrukcja obsługi. Uformować plastykową torebkę w kształcie kubka i wlać do niego wodę. Cieniutka warstwa metalu, z którego zrobiono jedną z powłok kubka, zaczyna oddawać do otoczenia ciepło. Po kilku minutach ciecz w naczyniu jest gorąca.

Proces ten trwa mniej więcej dwie godziny. Ochłodzony kubek trzeba zgnieść i wrzucić do gorącej wody, wówczas pobiera on energię. Po pewnym czasie można go wyjąć i w dowolnej chwili znów użyć.

Podwodne zagłębie złota

USA (PAP). Alaska przeżywająca na przełomie XIX i XX wieku „gorączkę złota" znów zaczyna przyciągać poszukiwaczy tego kruszcu. Dawne złoża zostały jeszcze w początkach stulecia całkowicie wyczerpane, ale współczesna technika pozwoli sięgnąć po złoto znajdujące się na szelfach. Badania geologiczne w przybrzeżnej strefie mórz Beringa i Beauforta oraz w zatoce Alaska ujawniły obecność tych samych struktur geologicznych, co w Kordylierach Ameryki Północnej i w dorzeczu Jukonu. U brzegów Alaski występują złotodajne piaski o dużej zawartości tego metalu. Rozpoznano tam już podwodne złote zagłębie o powierzchni ponad 50 km kw., gdzie występuje duża koncentracja złota. Podwodne złoto zostało nagromadzone przez fale morskie, które rozmywały piaszczyste osady. Grudki cennego kruszcu zostały w naturalny sposób posortowane. Wystarczy je tylko wydobywać za pomocą podwodnych koparek. Eksploatacja napotyka jednak na duże trudności: krótkie lato, występowanie pływających lodów, częste sztormy, trudności z transportem i siłą roboczą.

Nowe rezerwaty pod Karkonoszami

(PAP). W regionie jeleniogórskim czynnych jest obecnie 7 rezerwatów przyrody o powierzchni blisko 100 ha. Miłośnicy przyrody wystąpili ostatnio z wnioskiem o objęcie ochroną kolejnych 46 terenów o niepowtarzalnej florze i faunie oraz nieprzeciętnych widokach krajobrazowych.

Ochroną rezerwatową objęte zostaną obszary ze śladami wulkanów w okolicach Maciejowej, tereny leśne w Jagniątkowie i zespoły stawów w okolicach Karpnik, Łagowa i Podgórzyna.

REPORTER Świata Młodych

SKĄD TWÓJ RÓD?

Tylko nazwisko było niemieckie

Nazwisko niemieckie, tak z pisowni jak i z wymowy, ale jest to tylko cieniutka błonka na korzeniach mego rodu, bo ich rdzeń, a także wyrosłe z nich drzewo pozostaje do głębi polskie. Mój ojciec **Antoni Dehmel** urodził się w roku 1877 w Poznaniu. Gdy miał 2 lata obumarli go oboje rodzice. Sierotę przygarnęło małżeństwo Kostrzewskich, mieszkające nie opodal placu Kolegiackiego przy ul. Za Bramką. Antoni ukończył realne gimnazjum Bergera przy ul. Strzeleckiej, przechodząc od tak w tym czasie nazywanej oktawy do primy. Z początkiem 1900 roku razem z przybranymi rodzicami przeniósł się do Koźmina Wielkopolskiego i rozpoczął pracę w handlu. Wkrótce w 1905 r. został członkiem kierownictwa „Rolnika" w Koźminie — polskiej spółdzielni rolniczo-handlowej. Niebawem po śmierci przybranego ojca zamieszkał w kupionym po przybyciu do Koźmina (a pochodzącym z czasów króla Stanisława Leszczyńskiego) dworku — o łamanym polskim dachu i kolumnowym podjeździe niedaleko koźmińskiego zamku, dziedzictwa Górków i Przyjemskich. W roku 1907 ożenił się z Weroniką Szczepecką, córką kupca kolonialnego. Poznał ją śpiewając w chórze przy Farze, gdy proboszczem był prałat ks. Stanisław Łukomski, późniejszy biskup łomżyński. Poza śpiewaniem w chórze Antoni pełnił funkcję członka okręgu ostrowskiego w „Sokole". Pamiętam, że w odświętnym pokoju nad leżanką przechowywano u nas sztandar „Sokoła". Ze ślubu zachowały się oryginalne telegramy gratulacyjne pełne polskiej treści — nad którymi niemało nabiedził się „Postbeamter", aby polskie słowa pisać z niemiecka.

W roku 1909 urodził się pierwszy syn, któremu nadano imię Jarogniew. Był to wybieg nie pozwalający na zapis w dokumencie urodzenia imienia w niemieckim odpowiedniku. Chodziło o zachowanie polskiego i słowiańskiego brzmienia, co przy niemieckim nazwisku nie było w polskim środowisku bez znaczenia. Z tej racji wynikały nieraz i zabawne zdarzenia.

Moja babka Marianna opowiadała, jak brat jej męża, Hilary, doczekawszy syna, umyślił dać mu na imię Wojciech. Urzędnik — oczywiście Niemiec, mówi: „a więc piszemy Adalbert". „Jaki tam Adalbert!" — zawołał Hilary i nacisnąwszy czapkę pospiesznie wyszedł. Nazajutrz zjawił się ponownie. Z chytrą miną i błyskiem w oku oznajmił, że jego chłopak będzie miał na imię Ziemowit. Pisarz chcąc nie chcąc z trudem, ale czytelnie wypisał w metryce imię: Ziemowit (głośno zaś przeczytał Cimowit, bo taka jest wymowa niemiecka). Było ponoć w rodzinie dużo śmiechu, Hilary zaś stwierdził: „całą noc siedziałem nad Kalendarzem Mariańskim, ale moje jest na wierzchu".

Moje zaś imię brzmi Bogdan, a dla utrzymania tradycji moja córka otrzymała imię Ludomira, a syn — Jaromir. W czasie niemieckiej okupacji niemało nasłuchałem się uwag na temat, skąd przy niemieckim nazwisku takie imię? Nazwisko też stwarzało kłopoty. Przy wystawianiu po wojnie dowodu osobistego chciałem zmienić jego pisownię, odrzucając owo nieme „h", lub zmienić je na „j" czy wreszcie całkowicie pominąć. Ostatecznie nie uczyniłem tego, bo i z takim nazwiskiem moi rodzice byli zawsze Polakami, z takim nazwiskiem brat Jarogniew w 1939 r. zginął bez śladu pod Lwowem, jako podporucznik polskich wojsk łączności. Z takim nazwiskiem mój ojciec w roku 1910 wraz ze szwagrem Antonim przeszedł przez zieloną granicę koło Mysłowic (zbiegały się tam granice trzech zaborów), podążając do Krakowa na uroczystości odsłonięcia pomnika grunwaldzkiego.

W roku 1917 zostałem uczniem szkoły powszechnej w Koźminie, nazywanej „Katholische Schule zu Koschmin". Nauczycielką pierwszej klasy była Fraulein Knopf, a kierownikiem szkoły Koralewski, który znalazł się w Koźminie po sławnym strajku dzieci wrzesińskich. Nieraz z kolegami „braliśmy w łapy" za polską mówę.

Kiedy przyszedł czas pierwszej wojny światowej, trzej bracia mojej matki, jak sienkiewiczowski „Bartek Zwycięzca", poszli z woli Wilhelma II na front. Antek otrzymał postrzał w łopatkę, Wiktor został zasypany przy wybuchu granatu (ale go odgrzebano) i obaj znaleźli się na tyłach. Władek zaś z przestrzeloną szczęką trafił do francuskiej niewoli (w 1920 r. po pobycie w obozie wrócił do domu). Posłano także i mego ojca do tzw. Landsturmu, a że zachorował, zwolniono go po pobycie w szpitalu, lecz postawiono warunek: nie ma powrotu do Koźmina! I tak właściwie zaczęła się wędrówka naszej rodziny. Najpierw był Krzywiń w powiecie kościańskim i nadal praca w tamtejszym „Rolniku". Ojciec był delegatem z powiatu na Sejmik Dzielnicowy w Poznaniu.

Rok 1918 to niedługi pobyt ojca w Środzie i wreszcie w Poznaniu, już wyzwolonym po powstaniu. Tu ojciec brał udział w pracach organizacji spółdzielczych czy to jako kierownik i członek zarządu, czy też lustrator, a więc działał w strukturach, które w Wielkopolsce stworzyli znani działacze: Szamarzewski, Wawrzyniak i Jackowski.

Kiedy nastały czasy kryzysu i nie było pracy w Poznaniu, ojciec pracował w Fundacji Kórnickiej stworzonej przez hr. Zamoyskiego, pełnił też funkcję przełożonego obszaru dworskiego w Prowencie, leżącym między Kórnikiem a Bninem. Ale i tu zabrakło dla niego miejsca! Przyszli inni, a między innymi brat ówczesnego prezydenta Ignacego Mościckiego. Ojciec wrócił do pracy w spółdzielczości, był nawet potem dyrektorem Banku Ludowego w Szamotułach.

Zrobił dla nas — swoich dzieci — bardzo wiele: dał nam wykształcenie, nauczył pracy nie tylko dla siebie, uczył nas kochać Ojczyznę, mnie i brata „pchnął" do ZHP, a nawet i sam został harcerzem. Poznawaliśmy z nim nasz kraj. Przewędrowaliśmy pieszo z Torunia do Kartuz, po drodze zwiedzając nadwiślańskie stare polskie grody, a potem Gdynię właśnie budowaną przez inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego. Widzieliśmy tam pierwszy pełnomorski statek „S.S. Kentucky". Potem była wędrówka z Kępna do Żywca, następnie Wilno i wyprawa nad Dniestr, aż za Lwów.

Różne jednak były moje odczucia co do polskości wschodnich rubieży międzywojennej Polski... I te, których doznałem na Pokuciu, i te, które odniosłem, gdy w 1938 roku, szukając pracy, znalazłem się w Brześciu nad Bugiem. Tam zresztą przeżyłem parę lat aż do 1944 roku. Tylko czerwiec 1941 uchronił mnie przed przymusowym poznaniem dalekiej i zimnej krainy... Do Poznania i Szamotuł wróciłem w marcu 1945 roku, by zacząć niemal nowe życie. W 1945 r. pochowałem ojca, w roku 1961 matkę. Zostałem sam z żoną — ślązaczką z pochodzenia, urodzoną w Berlinie, wielkopolanką, z domu — Szczepańską. Doczekałem się córki i syna, wnuków.

Monika i Łukasz, moi wnukowie, są czytelnikami Waszego pisma, do którego o dziejach mojego rodu napisałem ja — ich dziadek.

Bogdan Dehmel
Szamotuły

1

2

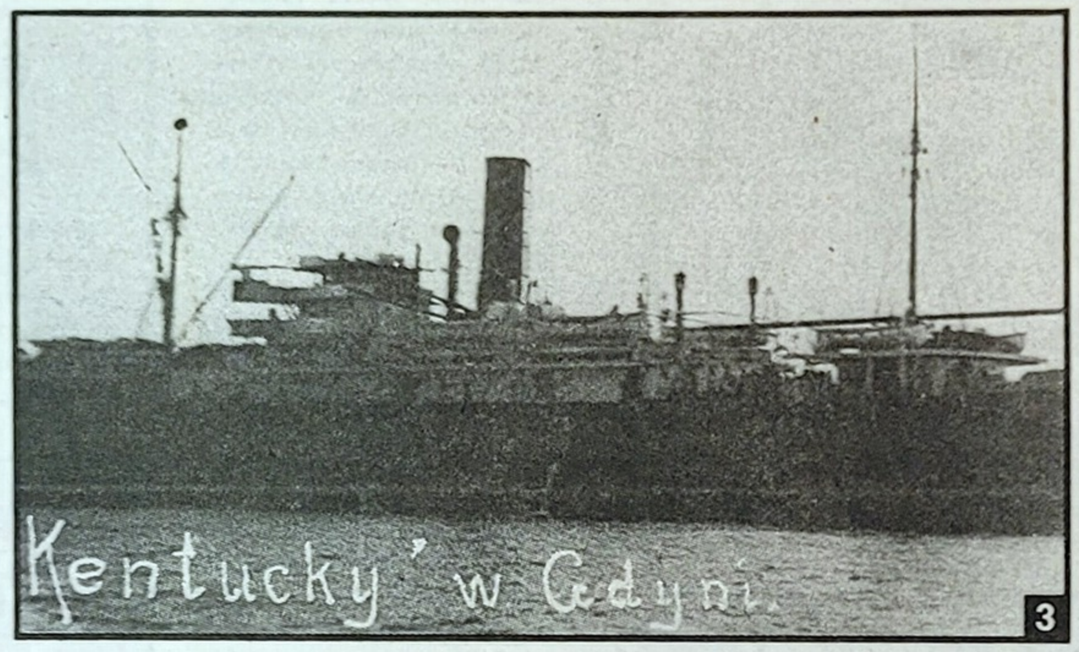

3

Na zdjęciach:

1. Antoni Dehmel (z lewej) z kolegami — żołnierzami
2. Antoni Dehmel w szpitalu wojskowym (pierwszy z prawej w drugim rzędzie)
3. Statek „Kentucky" w Gdyni — nowym polskim porcie

Fot. **archiwum Bogdana Dehmela**

REDAKCYJNA POCZTA

Tego co przeżyłeś, nikt Ci nie odbierze

Hej! Kiedy przeczytałam Twój list, Ataner, (nr 108 „ŚM") uderzyło mnie podobieństwo naszych przeżyć. Ja także miałam przyjaciółkę. Wszędzie razem chodziłyśmy, miałyśmy podobne zainteresowania, siedziałyśmy w jednej ławce.

Niedawno spostrzegłam, że między nami coś jest nie tak. Aga coraz bardziej odsuwała się ode mnie. Znalazła sobie inną przyjaciółkę, siadła z nią w jednej ławce. Prawie nie odzywałyśmy się do siebie. Było mi bardzo źle, ale nie robiłam jej wymówek. Taka sytuacja trwała kilka dni. Wreszcie przełamałam dumę i zadzwoniłam do niej. Porozmawiałyśmy sobie szczerze i pogodziłyśmy się. Było mi bardzo trudno powiedzieć: „Sama wybierasz sobie przyjaciół, nie mam do ciebie żalu, wiesz, co robisz..." Płakałam potem przez pół nocy, ale pomogło.

Rozejrzałam się i dostrzegłam, że nie tylko Aga jest na świecie. Wokół mnie jest wiele wspaniałych dziewczyn. Między mną, a Agnieszką nie ma już przyjaźni takiej jak dawniej, ale nadal się lubimy i kolegujemy ze sobą.

Myślę, że to było najlepsze rozwiązanie, jakie mogłam wybrać. Pytasz, czy warto zachować wspomnienia. Myślę, że warto, to co przeżyłaś, na pewno było piękne i nikt Ci tego nie odbierze. Wspomnienia nie przemijają. Jeżeli masz ochotę, napisz do „RP" i... uśmiechnij się. Świat nie jest taki zły...

Dorota

Dlaczego tak mi dokuczają?

Moja klasa nie jest zgrana. Wyróżnia się w niej nieodpowiednim zachowaniem kilka dziewcząt i kilku chłopców. Ja nie należę do wymienionych wyżej dziewczyn.

Kilka lat temu miałam w klasie prawdziwą przyjaciółkę. Mniej więcej w połowie V klasy naszą przyjaźń zerwał... wyjazd do ojca tej mojej przyjaciółki do Turcji. Zaczęła się ubierać w zagraniczne ciuchy. W klasie wiele osób chciało ją naśladować. Ja nie.

Chociaż z nią siedzę, Beata zauważa mnie tylko na klasówkach. Na przerwach omija mnie ze swoją nową przyjaciółką Olką i oddaną koleżanką Olki — Maryśką. Olka bardzo często mi dokucza z powodu odbarwień skóry, jakie mam na prawej dłoni. Wyśmiewa się ze mnie. Inne dziewczyny także. Na przerwach często biegam do WC, aby się w samotności wypłakać. Gdy wchodzę potem do klasy z zapuchniętymi oczyma, zaczyna się seria pytań, np.: „Dlaczego płakałaś"?, „Co się stało"? itp.

Do wychowawczyni już się nie zwracam. Ona faworyzuje Bogusię i Anię czyli „dwa aniołeczki z ostatniej ławeczki", jak często mówi. Wychowawczyni nie zwraca uwagi na mój ból. Jest mi przykro. Nie lubię mojej klasy. Wolę siedzieć kilka godzin sama w domu, niż chodzić do szkoły i słuchać śmiechów, którymi „uraczają" mnie te okropne koleżanki.

Proszę, wydrukujcie mój list. Może ktoś z mojej klasy go przeczyta i spojrzy życzliwie na moje położenie. Możliwe, że w innych klasach występują podobne układy. Napiszcie do „RP". Pomóżcie i odpowiedzcie mi na pytanie: Dlaczego się ze mnie śmieją?

zapłakana Elżbieta

CO ZROBIĆ, ŻEBY ZAROBIĆ

Samemu zapracować na atrakcyjny biwak, dalsze lub częstsze wycieczki, lepszy sprzęt dla drużyny. Dla wielu harcerzy to nic nowego — od lat gromadzą w ten sposób na książeczce drużyny całkiem pokaźne sumy. Inni jakoś nie potrafią znaleźć sobie źródła zarobków.

Właśnie z myślą przede wszystkim o tych drużynach „Świat Młodych" poprosił o rozmowę dh. Henryka Klekota, kwatermistrza ZHP.

„ŚM": — Z instrukcji o działalności finansowo-gospodarczej drużyny wynika jasno, druhu kwatermistrzu, że w zasadzie każda drużyna może podjąć każdą pracę?

Dh Henryk Klekot: — Praktycznie tak właśnie jest. Mogą podjąć każdą pracę, pod warunkiem, że jest ona prosta, nie wymagająca używania skomplikowanych urządzeń, że wreszcie jest użyteczna społecznie: uczy gospodarności, oszczędnego i celowego wydatkowania wspólnie wypracowanych środków. Oczywiście inne są możliwości drużyny wiejskiej, a inne miejskiej. Większe możliwości pracy będą miały drużyny starszoharcerskie. Dla młodszoharcerskich pozostają prace zdecydowanie lżejsze, np. utrzymywanie w porządku zieleńców miejskich, różne usługi typu: zakupy, roznoszenie listów, zielone przedszkola.

„ŚM": — Co konkretnie mogą robić harcerze?

HK: — Zbierać runo leśne, jagody, grzyby, sadzić las, wykonywać wszelkie prace przy porządkowaniu terenów w mieście i na wsi, zakładów pracy, szkół, prace polowe. Mogą też hodować zwierzęta. Wreszcie — ochronić środowisko. Duża szansa to samodzielne, własnoręczne urządzenie harcówki.

A w ogóle to wszystko zależy od operatywności i inicjatywy drużyny. W środowisku wiejskim zarabianie jest mozolniejsze i trudniejsze, w dużych miastach znacznie prostsze.

„ŚM": — U kogo pracować może drużyna harcerska? Czy są tu jakieś ograniczenia? I jak wygląda zawarcie umowy na wykonanie określonej pracy?

HK: — Kto z kim się umawia, w zasadzie nie ma znaczenia. Pracodawcą może być zarówno przedsiębiorstwo państwowe, jak i człowiek prywatny czy firma polonijna. Umowę podpisuje zawsze przedstawiciel zakładu zlecającego pracę, a w imieniu drużyny — pełnoletni drużynowy lub opiekun drużyny. Jest on odpowiedzialny za solidne i terminowe wykonanie pracy. Na razie drużynowy każdorazowo musi mieć pisemne pełnomocnictwo komendy hufca, ale powoli odchodzi się do tego na rzecz większej samodzielności drużyny.

„ŚM": — Jak wolno drużynie rozporządzać zarobionymi pieniędzmi?

HK: — To pozostaje do uznania rady drużyny, zależy od warunków i programu pracy. Albo kupuje się za nie sprzęt obozowy, sportowy, wyposażenie harcówki, albo przeznacza na organizację obozów, zimowisk, wycieczek krajowych i zagranicznych, rajdów czy biwaków.

„ŚM": — Czy mógłby druh dać nam receptę na drużynę „Zosię Samosię"?

HK: — Może zamiast recepty przykłady: W tym roku przy okazji grunwaldzkiego Zlotu ZHP spotkałem drużynę starszoharcerską z kieleckiego LO im. Stefana Żeromskiego. Przyszli do mnie z ofertą: popracują przy budowie latryn, zagospodarowaniu terenu zlotowego itd. Tak też zrobili; przy niezmiernie trudnych niewymiernych pracach bardzo nam pomogli. Realizowali swój stały całoroczny program: oni zawsze szukają okazji, są aktywni, zawsze pełni inicjatywy, chętni do pracy na rzecz drużyny, szkoły, miasta. Za to, co wykonali dla nas podczas Zlotu, za tę aktywność otrzymali ekstra od ZHP kilka namiotów. To duża drużyna, prawie szczep — przydadzą im się na pewno.

Inny przykład: drużyna ze Szczecina „Czerwone berety" — pasjonaci i entuzjaści. Ciągle coś się u nich dzieje. Teraz, na przykład, chcą uruchomić klub komputerowy, w którym będą pracować na rzecz drużyny. Na Dzień Dziecka wymyślili sobie niezwykle prosty plan. W kiosku „Ruchu" zakupili znaczną ilość balonów, napełnili je gazem z butli i sprzedawali na ulicach o pięćdziesiąt procent taniej niż „prywaciarze". Że wygrali tę konkurencję, łatwo się domyślić. Zarobili wtedy w ciągu jednego dnia ok. 300 000 zł.

„ŚM": — A więc jednak popracować warto...

Dziękuję za rozmowę

KRYSTYNA KLIMOWICZ

Fot. **Jacek Łopuszyński**

FRAGMENT INSTRUKCJI O DZIAŁALNOŚCI FINANSOWO-GOSPODARCZEJ DRUŻYNY (rozdz. IV)

Prace zarobkowe

(...) **1.** Drużyna może być organizatorem pracy zarobkowej. Wykonawcami pracy są harcerze, członkowie drużyny. Na podjęcie pracy przez drużynę podejmuje uchwałę Rada Drużyny. Uchwałę Rady Drużyny należy skonsultować z rodzicami harcerzy.

2. Harcerze mogą podejmować prace proste, nie wymagające dla ich wykonania angażowania parku maszynowego i innych skomplikowanych urządzeń (...)

4. Na podjęcie pracy zawiera się umowę, którą podpisuje przedstawiciel zakładu zlecającego pracę oraz drużynowy lub opiekun drużyny, na podstawie pełnomocnictwa wydanego na piśmie przez komendę hufca oraz uchwały drużyny o podjęciu pracy.

5. Umowa powinna określać: rodzaj prac zleconych do wykonania, prawa i obowiązki stron zawierających umowę oraz zasady i wysokość wynagrodzenia. Umowa powinna przewidywać, że w sprawach w niej nie unormowanych mają zastosowanie odpowiednie przepisy kodeksu cywilnego. (...)

6. Zakłady pracy obowiązane są do ubezpieczenia uczestników prac w PZU od następstw nieszczęśliwych wypadków. Koszty ubezpieczeń potrącane są z należności za wykonaną pracę.

7. Należność za wykonaną pracę oblicza się według obowiązujących cenników robót i usług i wolna jest od podatku obrotowego i dochodowego.

8. Należność za wykonaną pracę zakład pracy przekazuje na książeczkę oszczędnościową drużyny lub konto rozliczeniowe w Oddziale PKO (jeżeli drużyna posiada konto). Na przekazaną kwotę skarbnik wystawia kwit „Kasa przyjmie".

9. Drużynowy lub opiekun drużyny podpisujący umowę z zakładem pracy odpowiedzialny jest za solidne i terminowe wykonanie przez harcerzy prac, zgodnie z warunkami określonymi w umowie.

10. Środki finansowe wypracowane przez harcerzy podlegają określonej instrukcją ewidencji i kontroli, jak wszystkie inne wpływy własne drużyny.

Groteka warszawskiego Klubu „Poraje" zaprasza:

ZAGRAJ Z NAMI W „WARI"

Pilnym czytelnikom naszej gazety nie trzeba wyjaśniać, co to jest „Wari" i jak się w tę grę gra — wszakże już kiedyś zaprezentowaliśmy jej zasady. Toteż dziś już ich prezentować nie będziemy. Przypomnimy tylko, że ta afrykańska gra ludowa jest jedną z najstarszych, jakie zna świat. Do Europy dotarła co prawda dopiero w ubiegłym stuleciu, ale w Afryce grywano w nią nawet 6 tysięcy lat temu. Ma wiele zalet. Pociąga potencjalnych graczy jej egzotyka, połączona z prostotą. Prostotą zresztą pozorną, bo jest to gra wymagająca sprawnego myślenia i szybkiego liczenia. Wiedzą o tym doskonale jej sympatycy, wcale liczni w naszym kraju. Istnieją nawet kluby „Wari", działające zazwyczaj przy młodzieżowych domach kultury.

Otóż dla owych sympatyków — zrzeszonych i niezrzeszonych — mamy dziś dobrą wiadomość. Oto groteka, działająca przy Osiedlowym Klubie „Poraje" w Warszawie, postanowiła urządzić I Ogólnowarszawski Turniej „Wari". Odbędzie się on **17 grudnia br. w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki „Praga", ul. Ząbkowska 42.**

Kluby z Warszawy i województwa mogą zgłaszać swój udział do 1 grudnia br. Powinny jednak najpierw przeprowadzić u siebie eliminacje i zgłosić wyłonionych zwycięzców. Do finału dopuszczonych będzie 20 graczy. Klub może zgłosić do finału 2 osoby: zwycięzcę eliminacji klubowych i gracza rezerwowego. Jeżeli zgłosi się wiele klubów — przyjęci będą ci, którzy uczynili to wcześniej. Zadecyduje o tym data stempla pocztowego. Zakwalifikowany klub zobowiązany jest wpłacić organizatorom 800 zł.

Do finału dopuszczeni będą także gracze indywidualni z Warszawy i woj. stołecznego, nie zrzeszeni w klubach. Lista zgłoszeń graczy indywidualnych zostanie zamknięta 5 grudnia br. o godz. 20.00. Natomiast 10 grudnia br. zostaną przeprowadzone otwarte, indywidualne eliminacje. Pięciu ich zwycięzców weźmie udział w turnieju. Każdy uczestnik eliminacji również płaci organizatorom 800 zł. Wreszcie do finału dopuszczonych będzie też 5 graczy spoza Warszawy i woj. stołecznego. Turniej będzie zorganizowany w oparciu o przepisy międzynarodowe. Czas trwania jednej partii wynosi 60 minut (po 30 minut dla każdego gracza). Zastosowane będą zegary turniejowe.

Bliższe informacje o turnieju można uzyskać w jego biurze organizacyjnym, każdego dnia od poniedziałku do piątku włącznie, w godzinach 14.00–19.00 w Grotece Osiedlowego Klubu „Poraje", Warszawa, ul. Antalla 4, tel. 11-90-06 wewnętrzny 31. Wpisowe wpłacamy na konto **PKO O/M Warszawa nr 1658-18-2663** z dopiskiem „Wari". W imieniu organizatorów — zapraszamy do licznego udziału! **(tok)**

W trzecim i drugim tysiącleciu przed naszą erą (a więc wcześniej niż pojawiła się prastara kultura indyjska) w dolinie Indusu kwitła jedna z największych cywilizacji starożytnego Wschodu. Pozostawiła po sobie murowane budynki, skanalizowane ulice (!) baseny, porty, wyroby jubilerskie. I tajemnicze pismo pokrywające amulety i drobne przedmioty.

Po raz pierwszy odnaleziono je w 1875 roku. Obecnie archeolodzy odkopali już kilka tysięcy zabytkowych tabliczek ozdobionych tajemniczymi obrazkami. Ośrodki naukowe w Indiach, Wielkiej Brytanii, ZSRR, Finlandii od wielu lat bezskutecznie próbują odczytać zagadkowe pismo. Zadanie to okazało się niezwykle trudne, chociaż do analiz wykorzystano komputery. Przy krótkich tekstach z niepełnym zestawem znaków bada się rodzaj pisma za pomocą specjalnych wzorów określających jego strukturę gramatyczną. Próby te jednak nie powiodły się, gdyż napisy są bardzo krótkie (najdłuższy liczy 26 znaków). Największą przeszkodą była nieznajomość języka, jakiego używali dawni mieszkańcy doliny Indusu. Na pewno nie byli oni prostymi przodkami dzisiejszych Drawidów z południowych Indii. Postęp prac hamuje też brak bilingwy, czyli tekstu dwujęzycznego zapisanego znanym systemem pisma w jakimś poznanym wcześniej języku.

W 1984 roku do prac nad deszyfracją tajemniczych znaków przystąpił pracownik naukowy Politechniki Szczecińskiej — dr Benon Szałek. Po żmudnych dociekaniach językoznawczy rebus został rozwiązany. Zdaniem szczecińskiego hobbisty hieroglify, biegnące od prawej do lewej strony, należą do archaicznej grupy języków tamilskich, którymi dzisiaj posługują się np. mieszkańcy Sri Lanki. Cały system liczy nie więcej niż 100 znaków, które najczęściej oznaczają sylabę otwartą np. li, wa, ba.

Jednak do czasu aż odkrycie to potwierdzą zawodowi historycy, ma ono tylko wartość hipotezy. **(jo)**

Rys. **M. Piotrowska**

Nie tylko disco

Edukacja w sali balowej — mówi Ewa (I kl. LO)

Wszystkiemu winna była Anka — mój zły duch — jak mawiał tata. To ona namówiła mnie na tę imprezę, udało jej się pokonać wszystkie moje strachy. Przekonała mnie, że nie muszę zapisywać się z partnerem, że będzie wielu chłopców, którzy nie mają nikogo do pary, i że na pewno będzie z kim tańczyć. O moim braku poczucia rytmu i wrodzonej predyspozycji do deptania tancerzowi po palcach nie chciała nawet słyszeć. Tak więc zapisałyśmy się na kurs tańca obie. Niestety, na dwa dni przed rozpoczęciem nauki moja odważna przyjaciółka rozchorowała się, a ja znalazłam się przed wejściem do sali balowej sama.

W jasno oświetlonym pomieszczeniu, gdzie światło odbijały duże lustra, znajdowało się około 40 osób w wieku od 15 do 20 lat. Część siedziała na ustawionych wokół sali krzesłach, inni stali w małych grupkach. Na środku spacerował szczupły, starszy pan. Jak się po chwili zorientowałam, uświadamiał zebranej młodzieży znaczenie dobrych obyczajów i umiejętności kulturalnego zachowania się w towarzystwie. Z jego słów wynikało jasno, że do pełnej edukacji potrzebna jest człowiekowi — zwłaszcza młodemu — umiejętność tańca. Na kolejnych lekcjach mówiliśmy o tym, co to jest takt, jak należy chodzić, jak kichać czy ziewać, w jaki sposób poprosić do tańca, jak usadzać gości przy stole, a nawet w jakiej kolejności ich częstować. Potem okazało się, że na początku każdej lekcji profesor — bo tak tytułowaliśmy naszego nauczyciela — poświęcał kilkanaście minut tematom, które najogólniej można określić jako dobre wychowanie.

Pierwsza lekcja była dla mnie zaskoczeniem. Uczyliśmy się... chodzić. W takt liczenia profesora dreptaliśmy w kółku, starając się iść prosto, lekko i naturalnie. Ktoś by pomyślał może, że chodzenie jest najprostszą rzeczą na świecie, którą opanowuje się zwykle w pierwszym roku życia. Ale naprawdę, większość ludzi powinna uczyć się ładnego chodzenia.

Na kursie czas płynął szybko i cała nasza grupa robiła postępy. W ciągu półtora miesiąca opanowaliśmy podstawowe kroki takich tańców, jak: rock and roll, walc, swing, tango, samba i cha-cha. Profesor tłumaczył bardzo jasno i demonstrował kroki, które powtarzaliśmy za nim. Najpierw oddzielnie dziewczęta i oddzielnie chłopcy, a potem w parach. Taniec rozłożony na czynniki pierwsze okazywał się łatwy do opanowania. Nasz nauczyciel pokazywał nam również styl każdego tańca. Tu chodziło już nie tylko o kroki, ale o odpowiednią postawę, specyficzne ruchy ciała. Najwspanialsze były momenty, kiedy czułam, że ćwiczona figura to nie jest już dreptanie wyuczonych kroczków, ale płynny, rytmiczny taniec. Oczywiście ta euforia nie trwała długo, zazwyczaj po paru chwilach mój partner, albo ja sama — myliliśmy krok, czar pryskał, a my przepraszaliśmy się nawzajem speszeni.

Trema, z jaką początkowo przychodziłam na kurs, z czasem minęła. Zauważyłam, że i inni popełniają błędy. Przyzwyczaiłam się do lekcji tańca i stały mi się one potrzebne. Tydzień wyznaczany był już nie terminami klasówek, ale zajęciami prowadzonymi przez profesora. Odpoczywałam wówczas od monotonii szkolnej nauki i stresów.

Był to inny świat. Nie liczyły się w nim wyniki szkolne, lecz lekkość, poczucie rytmu oraz... ładne i wygodne pantofle. Taniec zaczął pochłaniać moją uwagę nie tylko na kursie. Przyłapałam się, że czekając na autobus wolniutko przechadzam się po przystanku krokiem walca, a w myśli nucę jakąś melodię. Mama nareszcie przestała powtarzać mi refren: „Nie garb się!" Wynikało to z faktu, że starałam się ładnie i lekko chodzić, a przy pochylonych plecach było to niemożliwe. Najważniejsze jednak było to, że figury walca czy rock and rolla nie stanowiły już dla mnie czarnej magii. Wiedziałam, że umiem tańczyć.

Nie znosiłem dyskotek — mówi Krzysztof (II kl. Tech.)

Zapisałem się na kurs tańca, chociaż nie miałem na to wielkiej ochoty. Pech chciał jednak, że dziewczyna, którą się wtedy bardzo interesowałem, lubiła tańczyć. Na szkolnej dyskotece z zazdrością patrzyłem, jak wdzięcznie poruszała się, robiąc różne obroty, przejścia i promenady — niestety w parze z moim starszym kolegą. Ostatecznie zdecydowałem się w wakacje na obozie. Często organizowano tam dyskoteki, więc taniec był jedynym ratunkiem i nadzieją na udany wieczór. Siedziałem zazwyczaj znudzony w kącie i liczyłem, ile jeszcze zostało czasu do zakończenia imprezy. Jeden z uczestników obozu, świetnie zresztą tańczący, poradził mi wtedy, abym zapisał się na kurs tańca, na który on wcześniej chodził, i tak trafiłem do Domu Kultury przy Elektoralnej.

Tym, co mnie zaskoczyło na zajęciach, była duża dyscyplina. Nasz profesor, przedstawiciel jeszcze przedwojennej szkoły pedagogów, wymagał od uczestników ciszy i pełnej koncentracji. Niewątpliwie jego zasługą było to, że opanowałem kroki kilku tańców towarzyskich. W trakcie podstawowego i zaawansowanego kursu (razem trzy miesiące) poznałem dość dobrze m.in. tango, walca angielskiego, sambę, cha-cha i walca. Najbardziej chyba jestem zadowolony z rock and rolla i walca. Zwłaszcza ten pierwszy taniec jest bardzo przydatny, jego dynamiczne i bardzo efektowne układy można wykorzystać nie tylko przy muzyce rock and rollowej, ale też w tańcach disco. Bardzo lubię urozmaicenie w tańcu i z pewnym pobłażaniem patrzę na tych, którzy powtarzają monotonne układy składające się najwyżej z dwóch — trzech elementów. A jeszcze nie tak dawno uważałbym ich za wspaniałych tancerzy.

Niestety nie ma w Warszawie zbyt wielu miejsc, gdzie można byłoby potańczyć walca, rumbę czy tango. Dlatego też nie mając okazji do ćwiczenia, zapomina się wiele wspaniałych kroków i układów tanecznych. Pozostaje jednak swoboda w tańcu i oswojenie z sytuacją. Teraz, kiedy zdarza mi się pomylić krok, nie wpadam w panikę, nie czerwienię się, tylko staram się możliwie płynnie przejść do następnej figury. Przede wszystkim jednak potrafię dość pewnie prowadzić partnerkę. Zauważyłem, że dziewczęta to lubią i nawet jeżeli któraś nie tańczy zbyt dobrze, to na ogół potrafi się intuicyjnie dostosować.

Kursów wprawdzie jest sporo... — mówi Marek (II LO)

Taniec to moje hobby. Gdy inni uprawiają sport, czy siedzą przed komputerem — ja tańczę. Poziom kursów, których zaliczyłem już trzy — jest różny. Czasami ktoś po prostu chce zrobić pieniądze, więc organizuje kurs. Młodzież płaci słono, a w zamian pobieżnie poznaje jeden taniec, najczęściej rock and rolla lub disco.

W stołecznym Domu Kultury poznałem kilka osób, które tak jak ja „mogłyby przetańczyć całe życie". W przeciwieństwie do dyskotek, na kursie ludzie zachowują się i ubierają normalnie, nie ma szpanu za duże pieniądze ani muzyki — przez kilka godzin w jednym rytmie. Tańczy się m.in. rock and rolla, sambę, rumbę, które są — o czym na ogół moi rówieśnicy nie wiedzą — szybkie i dynamiczne. A więc nie tylko disco — warto o tym pamiętać.

ELŻBIETA PERNACH

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Sporo zwolenników magii przyjechało z Tarnowa. Ola Kierzek za występ z piłeczkami zebrała burzliwe oklaski. Jej koleżanka Sylwia Rudny i Ewa Kapustka, specjalizujące się głównie w iluzji dla młodszej widowni, chcą w przyszłości zająć się iluzją zawodowo. Jacek Zydroń — ich kolega, traktuje magię jako dobrą zabawę i nie wiąże ze swym hobby żadnych dalekosiężnych planów, choć nie przeczy, że go to bardzo wciągnęło. Krzysztof — żołnierz specjalnie poprosił szefa o urlop, by móc wziąć udział w Kongresie. Henryk Paraszkiewicz czyli Henrico Magico, iluzjonista z Suwałk twierdzi, że iluzja to jak choroba, z której nie można się wyleczyć: — *„Ja nawet w podróży bawię ludzi"*...

Podczas łódzkiego Kongresu odbywały się także targi rekwizytów. Można więc było nabyć produkowane przez samych iluzjonistów magiczne akcesoria. A więc: piłeczki, bawełniane kolorowe chustki, bombki, czarodziejskie różdżki, cylindry, karty oraz fachowe czasopisma zagraniczne.

Stałym elementem sztuk magicznych są miny, pozy. W pokazie liczy się bowiem nie tylko dobra technika wykonania, ale i cała aktorska oprawa.

W Polsce nie ma specjalnych szkół dla przyszłych

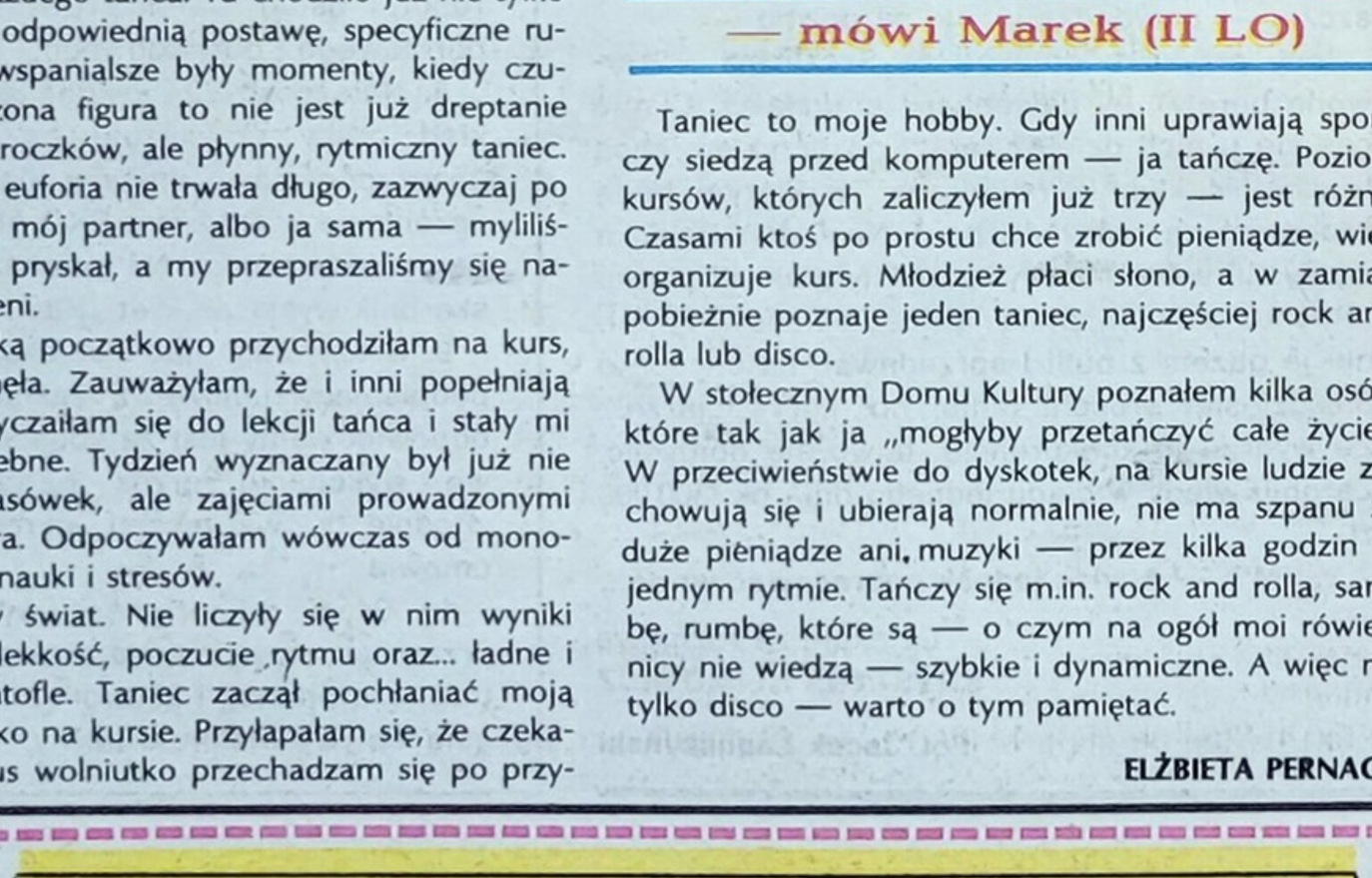

1 PISMA ŚWIATA

Cywilizacja Doliny Indusu

V Ogólnopolskie Harcerskie Biegi Przełajowe „Po złoty liść jesieni" Grudziądz '88

Faworytów było wielu, ale wygrali najlepsi. Tak jest zresztą na każdych zawodach. A w Grudziądzu, na idealnie przygotowanych trasach przełajowych, biegacze wykazali prawdziwy hart. Zaimponowali nie tylko kondycją, ale także walecznością i godną harcerza postawą. Zaciętą rywalizację oglądaliśmy zwłaszcza w kategoriach najmłodszych...

Trofeum „Świata Młodych" zdobył Zbyszek Przednowek z maleńkiej wioski Werchrata (woj. przemyskie). Minimalnie pokonał Waldka Cieślaka z Konina i Piotra Proroka z Sierpca. Wszyscy wpadli na metę niemal jednocześnie. Gratulujemy!

Pasjonujący pojedynek stoczyły także rywalizujące o nasz puchar dziewczęta. Jednak Żaneta Kaczmarska i Joanna Jasińska (obie Szkoła nr 8 z Grudziądza) nie dały przeciwnikom większych szans i stanęły na podium. Podopieczne pana Henryka Rogowskiego nie po raz pierwszy udowodniły, że w biegach przełajowych należą do krajowej czołówki. Jako trzecia zameldowała się na mecie Ewa Jankowska z Bytomia (Szkoła nr 51).

Ogromne brawa należą się też organizatorom przełajów. Sędzia główny imprezy, pan Zygmunt Raba, miał więc ułatwione zadanie. Ten doświadczony arbiter stwierdził, że rzadko ogląda tak sympatyczne i doskonale przygotowane zawody. W przyszłym roku sędziował będzie więc po raz piąty.

A oto zwycięzcy pozostałych kategorii wiekowych: Anna Lubrant (Toruń) i Marek Śmiechowski (Tarnów) — zdobyli puchary redakcji „Na przełaj"; Joanna Pikulska i Jerzy Mydlarz (oboje Białystok) — wywalczyli trofea „Motywów". Puchar Naczelnika ZHP za zwycięstwo w klasyfikacji generalnej zdobyła ekipa gospodarzy, która wyprzedziła drużyny z Białegostoku i Przemyśla. Startowało 17 zespołów. Szkoda, że i tym razem nie zobaczyliśmy na trasach reprezentantów wszystkich województw...

Tekst i zdjęcia
ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI

Na zdjęciach:

1. Pogoda dopisała, biegało się więc po idealnie wyzłoconych liściach

2. Meta znajdowała się na stadionie. Oto fragment biegu, do którego wystartowali wszyscy jednocześnie. Były to zawody towarzyskie

3. Liderki biegu o puchar „Świata Młodych": Żaneta Kaczmarska, Joanna Jasińska i Ewa Jankowska wymieniają adresy

4. Jeden z najmłodszych uczestników grudziądzkich przełajów: „Za rok ujawnię swoje nazwisko — kiedy stanę na podium", powiedział wysłannikowi „ŚM"

5. Przedstawiciel „ŚM" składa gratulacje czołowym zawodnikom grudziądzkich biegów przełajowych

6. Tak cieszono się po zakończeniu każdej konkurencji. Trudno mówić o zwycięzcach i pokonanych

DLA GOSPODARZY

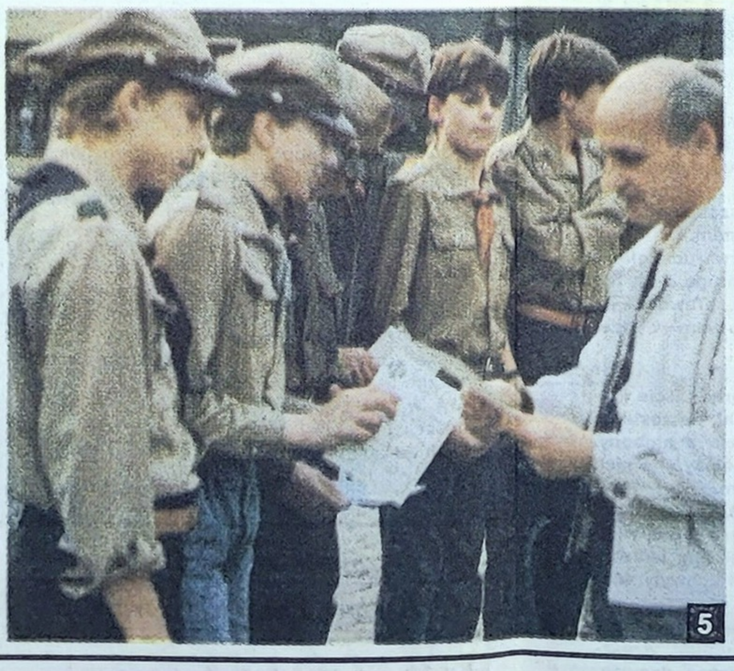

Mistrzostwo nie spada z nieba

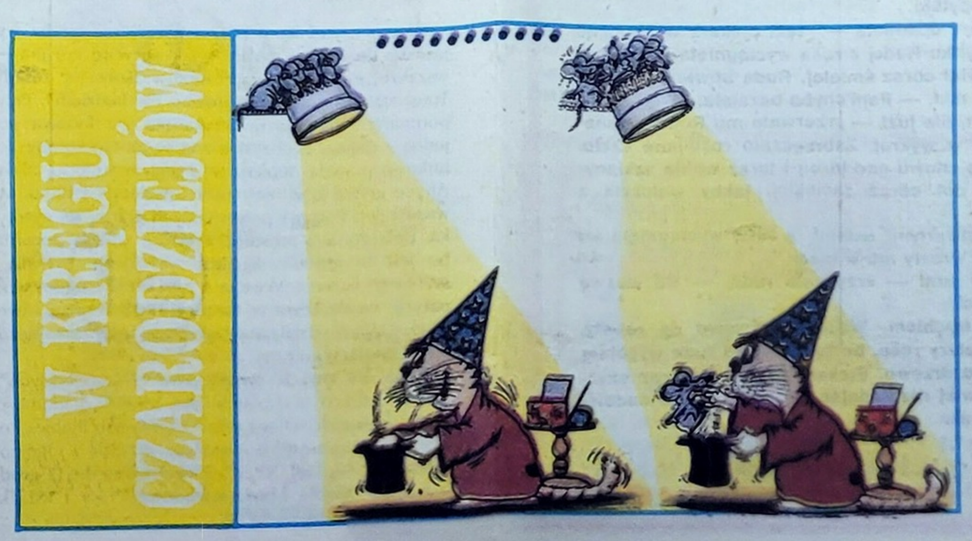

mistrzów iluzji. Najwyższe zawodowe umiejętności można nabyć wyłącznie przez podpatrywanie profesjonalistów i długie lata systematycznego doskonalenia swojej sztuki. W informatorze Krajowego Klubu Iluzjonistów (zrzeszającym wszystkich iluzjonistów w Polsce, zawodowców i amatorów) tym, którzy chcieliby umieć „czarować" radzi się:

★ wykorzystuj każdą okazję, aby oglądać występy iluzjonistów. Masz szansę odkryć ten czy ów sekretny ruch, a może nawet rozwiązać zagadkę sztuki;

★ przyglądaj się uważnie zachowaniu iluzjonisty na scenie, jego mimice, rozmowie z publicznością, pozornie swobodnym ruchom czy gestom. Przekonasz się, że nie tyle ważne są rekwizyty w jego rękach, co sposób, w jaki się nimi posługuje;

★ spróbuj nawiązać osobisty kontakt z którymś z członków naszej organizacji. Jeśli szczerze zapewnisz go o zachowaniu sekretu, możesz się od niego nauczyć wielu chwytów, gestów, trików;

★ fascynacji sztuką niech towarzyszy cierpliwość i pracowitość. Mistrzostwo nie spada z nieba. Wtedy napisz do naszej organizacji.

KKI ma siedzibę w Łódzkim Domu Kultury, ul. Traugutta 18, 90-113 Łódź, ale terenowe koła znajdują się w: Bytomiu, Tarnowie, Krakowie, Szczecinie, Bydgoszczy, Rzeszowie, Wałbrzychu i Gorzowie Wlkp.

Spróbuj, może i Ty zostaniesz czarodziejem...

LESZEK MISIAK

„TELENOVELAS"

LUCELIA SANTOS i inni...

Lucelia Santos, Sonia Braga, Eva Wilma, Regina Duarte, Rubens de Falco — gwiazdy „telenovelas" — brazylijskich, tasiemcowych seriali — są już znane na całym świecie. „Niewolnica Isaura", „W rytmie disco", „W kamiennym kręgu", a także nieznane nam jeszcze „Malou", „Trójkąt Bermudzki", „Diadorim" i „Mademoiselle" przyciągały i przyciągają niczym magnes do teleodbiorników widzów pod najróżniejszymi szerokościami geograficznymi — w Europie, Chinach, Związku Radzieckim (w tej chwili właśnie tam zawędrowała „Isaura"), także w Tunezji, Algierii i Maroku...

Brazylijskim potentatem produkcji, z którą przegrywają konkurencję nawet najpopularniejsze seriale amerykańskie, jest TV Globo — jeden z największych kanałów telewizyjnych na świecie. Zatrudnia on 8 tysięcy osób i obejmuje swym zasięgiem dzięki 51 stacjom przekaźnikowym i satelicie Intelsat IV gigantyczną powierzchnię 8511965 km kwadratowych Brazylii. W godzinach najlepszej oglądalności — tzn. o 17, 18 i 19^{30} na kanale Globo emitowane są codziennie odcinki trzech seriali (powtarzane są one zresztą każdego następnego popołudnia). Ogląda je co wieczór 50 do 80 milionów widzów. TV Globo osiągnęła też już światowy rekord rekordów — absolutnie wszyscy widzowie oglądali program na tym samym kanale w chwili, gdy bohaterka telenovelas „Selva de pedra" odkrywała swą tożsamość, zaciekawionym superskomplikowaną akcją, widzom.

Przeciętnie telenovelas liczą sobie po ok. 170 półgodzinnych odcinków. Wyświetlanie ich trwa pół roku. Czyli — inaczej niż to się dzieje w tasiemcach amerykańskich — historia rozgrywa się w zamkniętym czasie, ma swój początek i skomplikowane, prowadzone są w sposób ogromnie czytelny i konsekwentny. Ponoć gdy w serialu „Cercle de feu" (Krąg ognia) — bohatera, pozbawionego skrupułów człowieka interesów, dotknęła, zgodnie ze scenariuszem, nieuleczalna choroba i doprowadziła do metamorfozy jego psychiki, producentów filmu zasypała lawina listów, w których widzowie prosili o „nieuśmiercanie" tej budzącej już ich sympatię, postaci. Listy zostały potraktowane najpoważniej. Wezwano do konsultacji przypadku największe lekarskie sławy. — Nie ma szans na wyleczenie — orzekli jednak i bohater musiał umrzeć.

Powyższe informacje na temat zaskakującego (przede wszystkim krytyków) światowego sukcesu brazylijskich telenovelas, w obszernym artykule zamieścił we wrześniowym numerze francuski tygodnik „Ciné Tele Revue". Zilustrował je zdjęciami z najpopularniejszych filmów, w tym — sympatyczną fotką Virginii z serialu, który właśnie oglądamy — czyli „W kamiennym kręgu". Z pewnością ucieszy ono licznych polskich sympatyków Lucelii Santos.

Oprac. **(eb)**

GWIAZDOZBIÓR

Powrót weterana szos

Zabytkowy „Chrysler" (rok produkcji 1924), zapomniany przez świat i ludzi „wrastał w ziemię" za stodołą w okolicach Kraśnika. Pojazd był w opłakanym stanie. Ogromne plamy rdzy na karoserii, zdewastowany układ napędowy, rozpadające się siedzenia, zniszczone koła. Warszawski mechanik, pan Juliusz Siudziński, kupił go od poprzedniego właściciela za... 1500 zł. Reanimowanie wraka zajęło mu ponad trzy lata.

— Jedni zbierają dawne monety, lub kolekcjonują białą broń. Innych pasjonują motolotnie. Mnie najbardziej interesują stare samochody. Ciągle coś czytam, stale wzbogacam swoją wiedzę na ten temat. Ale nie zawsze uda mi się zgromadzić dokumentację niezbędną do przeprowadzenia remontu. To są zabytki i o żadnej prowizorce nie może być mowy. Brakujące fragmenty odtwarzam z dużą starannością, chociaż czasami muszę kierować się intuicją. Oczywiście zdobycie brakujących autentycznych części jest marzeniem nierealnym. Niektóre podzespoły zmuszony jestem sam dorabiać. Pół biedy jeśli są to elementy metalowe lub drewniane. Można je wtedy wytoczyć, wyfrezować lub wystrugać z drewna. Prawdziwa tragedia zaczyna się, kiedy trzeba zdobywać ogumienie. Chałupniczym sposobem opony nie da się zrobić. Angielska firma „Dunlop" wykonuje na zamówienie każdy typ koła samochodowego, ale nie jest to wydatek na moją kieszeń. Taka „zabawka" kosztuje około 300 funtów — z relacji pana Siudzińskiego widać, że kolekcjoner starych samochodów nie ma łatwego życia. Na przykład ogumienie do „Chryslera" udało się zdobyć dzięki uprzejmości... szefa uzbrojenia Wojska Polskiego. Okazało się bowiem, że do samochodu pasują jak ulał opony stosowane do... armat!

Innym poważnym problemem było znalezienie wykonawcy do zrobienia kloszy do reflektorów. Tego nietypowego zadania podjęła się huta szkła w Wołominie, gdzie zgodzono się odlać je według dostarczonego wzoru. Zdobiące „Chryslera" światła różnią się od autentycznych tylko jednym drobnym szczegółem. Na obrzeżach szkieł znajduje się malutki napis „Juliusz Siudziński"...

Popisowa runda „Adlera"

Według klasyfikacji Polskiego Związku Motorowego każdy samochód, bez względu na jego markę, uznawany jest za weterana, jeśli liczy sobie więcej niż 25 lat. Za zabytkowe można uznać więc także niektóre, starsze wiekiem „Warszawy" czy „Syrenki".

Jednak szanujący się kolekcjoner tej branży musi mieć bardziej oryginalne konstrukcje. Takim rarytasem jest na przykład polski autobus „FIAT-618", zrobiony przed wojną w Państwowych Zakładach Inżynierii. Jest to jedyny ze 100 wyprodukowanych, jeżdżący egzemplarz na świecie! Dziś po latach, po gruntownej renowacji nadal jest na chodzie i w każdej chwili można go wykorzystać do „wędrówek" turystycznych.

W swoich zbiorach pan Siudziński posiada kilka prawdziwych asów. Oprócz wspomnianego na wstępie „Chryslera" w głębi ogrodu pod przemyślnymi wiatami parkują: „FIAT-Topolino" z 1938 roku i jego starszy brat „FIAT-1100", limuzyna „Essex", przedwojenna ciężarówka marki „Adler". Wszystkie samochody są sprawne technicznie. W każdej chwili można siąść za kierownicą i wyjechać na szosę.

Najgłośniejszym osiągnięciem bohatera naszego reportażu było przywrócenie dawnej świetności automobilowi „Adler", pochodzącemu z roku 1901. Wehikuł ten używany był w czasach, kiedy to zgodnie z obowiązującymi niegdyś przepisami przed każdym samochodem musiał biec człowiek z chorągiewką i trąbką, ostrzegając przechodniów przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Wyposażony w jednocylindrowy, benzynowy silnik o mocy 5 koni mechanicznych oraz 3-stopniową skrzynię biegów, w latach swojej młodości rozwijał on zawrotną wówczas prędkość 35 km/godz.

Wiekowe auto jest własnością warszawskiego Muzeum Techniki, gdzie trafiło w pierwszych latach po otwarciu tej placówki. Przez długi czas nie pokazywano go jednak publiczności, gdyż znajdowało się w fatalnym stanie. Dzięki mistrzowskim umiejętnościom pana Siudzińskiego po półtorarocznej renowacji pojazd wyglądał tak, jakby wczoraj opuścił fabrykę. Lśniąca karoseria, pikowane obicia foteli, błyszczące mosiężne naftowe reflektory. Część konstrukcji, łącznie z kołami, wykonana jest z drewna. Odbudowany i doprowadzony do użytku został także stary silnik „De Dion-Bouton". O jego sprawności najlepiej świadczy fakt, że automobil, zanim ozdobił salę wystawową, o własnych siłach zrobił popisową rundę wokół Pałacu Kultury.

Pożegnanie z filmem

Zgrabna sylwetka samochodu marki „Essex" znana jest nie tylko widzom, którzy na własne oczy mogli oglądać prywatne mini-muzeum motoryzacji w Aninie pod Warszawą. Wspaniale odrestaurowana limuzyna z 1927 roku występowała w wielu filmach, których akcja rozgrywała się w latach międzywojennych.

— Kilkakrotnie wypożyczałem ten ekskluzywny samochód do filmu, aby chociaż częściowo wynagrodzić sobie koszty związane z jego remontem. Samo położenie lakieru przez fachowca — o żadnej fuszerce nie może być mowy

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

Fot. **autor i Janina Cieślik**

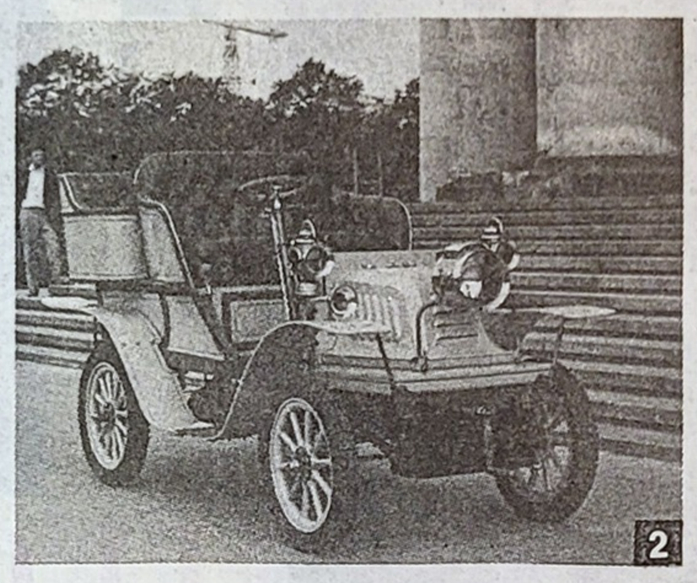

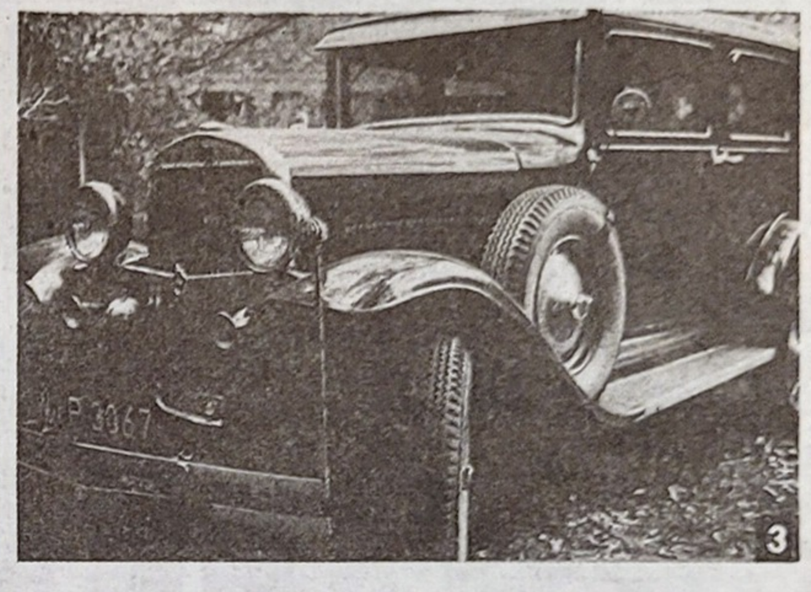

Na zdjęciach:

1. Juliusz Siudziński, kolekcjoner starych samochodów: „Zdobycie autentycznych brakujących części jest marzeniem nierealnym"

2. „Adler" używany był w czasach, kiedy zgodnie z obowiązującymi przepisami przed każdym automobilem musiał biec człowiek z chorągiewką i trąbką, ostrzegając przed zbliżającym się niebezpieczeństwem

3. Limuzyna „Essex" kilkakrotnie wystąpiła w roli gwiazdora filmowego

WAKACJE W DOLINIE KŁONOWEGO LIŚCIA 22

Ewa Przybylska

Paulina bez słowa oddała mu wiosło.

— Nie pluskaj. Wpłyń pod wierzbę. Schowaj się w krzakach i ani mru mru...

Mietek wziął się ochoczo do wykonania rozkazu. Podtopione wierzby moczyły swoje włosy głęboko w wodzie. Wpłynęli pod nie jak pod parasol i ukryli się przed oczyma ludzi z brzegu i z pomostu. Paulina zrzuciła sandały, zadarła sukienkę i spuściła się do wody.

— Łódka na brzeg — nakazała cicho.

Mietek znowu posłusznie wypełnił rozkaz. Oczy płonęły mu żądzą działania. Czekał. Nie pytał o nic, bo za dobrze ją znał. Paulina chwilę badała teren wzrokiem, poczem skinęła na Mietka. Przybliżył ucho. Wyjaśniła mu zwięźle cały plan.

Mietka oszołomiło.

— Jezusie słodki! — rzekł z zachwytem. — Kupa forsy popłynie! Jak wtedy do morza...

— Wtedy była to zemsta — pouczyła go Paulina. — Teraz jest w imieniu prawa...

Przekradli się bliżej, Starając się być zawsze pod osłoną zarośli. Ambona była już dobrze widoczna. Nic się koło niej nie działo.

— Musi być jakiś strażnik — szepnęła Paulina. — Sprawdź!

Mietek przeturlał się w następny wykrot, a Paulina za nim. Cisza trwała niezmącona, nie było nikogo widać.

— Nikt nie zostawi takiej forsy bez opieki — szepnęła znów Paulina. — Czekajmy...

Przyczaili się. Muchy bzykały nad ich głowami, słońce przypiekało przez listowie, a mrówki jakby się umówiły na spotkanie w nogawkach portek Mietka.

— Aż tu będą przyłazić na jeden kieliszek? — wyraził wątpliwość Mietek, drapiąc się. — W tym upale?

— Głupiś. Tu jest hurt. Stąd pozabierają sprytnie do budek.

— Może to plotka?

— Widziałeś już odpust bez picia? — na to Paulina.

— Uważam — zaczął Mietek i zamilkł, jak uciął.

Usłyszeli pogwizdywanie. Spomiędzy gęstych krzewów wyszedł Benek, syn dróżnika. Idąc, przyginał się co chwila, jakby zbierał grzyby lub jagody. Każdy, kto pochodził stąd, wiedział, że Benek nigdy się jeszcze czymś takim nie splamił. W życiu swoim nie podniósł jednego grzyba, nawet gdy się ten sam o to napraszał. Benek nie cierpiał takiej pracy, chociaż cała jego rodzina dorabiała zbieraniem. Tak więc Paulina i Mietek natychmiast pojęli, że Benek robi to dla cudzych oczu. Albo ich zauważył, albo starał się być przezornym na wszelki wypadek.

Leżeli w wykrocie, bojąc się oddychać głośniej. Zgodnie z ich przewidywaniami Benkowi wnet sprzykrzyło się udawanie. Opadł pod drzewem i zapalił papierosa, chociaż dobrze wiedział, że w lesie nie wolno. Ale zapałkę zgasił, nawet napluł na nią, zanim wsunął ją w mech. Siedział cicho, pogwizdując przez zęby, ziewając co pewien czas. Aż nagle zamilkł.

Ze stadionu zagrzmiała muzyka, woda niosła ją daleko i wyraźnie. Z całą pewnością zaczynały się właśnie tańce na drewnianym podium, specjalnie w tym celu zbudowanym. Benek nie wytrzymał. Zerwał się. Chwilę dreptał w miejscu, klnąc cicho. Wykręcił szyję w stronę stadionu, na którym pięknie rozwijało się taneczne szaleństwo, a nogi same go niosły, kawałek po kawałeczku, coraz bliżej radości, w której niestety nie mógł wziąć udziału. Wciąż cicho klnąc dał się uprowadzić nogom, aż nagle zaczął wtórować muzyce. Były to jesienne róże... Benek zawsze szczycił się mocnym głosem, nie mógł więc odmówić sobie, aby ulubioną melodię zaśpiewać pełniej. Dudniąc swoim basem przesuwał się powoli, aż nagle stracili go zupełnie z oczu. Chrzęst łamanego chrustu i szelest liści informował ich, iż Benek przedziera się przez krzewy ku lepszemu zajęciu, niż to, którego się nieopatrznie podjął.

Odczekali jeszcze chwilę. Już mieli się podnieść, gdy czyjś głos zapytał wyraźnie:

— Poszedł?

— Csss — na to ktoś drugi.

Znowu zaległa cisza. W ciszy tej czyjeś zbliżające się kroki stawały się coraz wyraźniejsze. Od Zalewu, obszedłszy go okrężnie, podchodził gruby piekarz, ojciec Emilii. Było mu gorąco, wachlował się więc chustką, raz po raz wycierając nią kark. Dotarł w pobliże ambony, rozejrzał się, odczekał, wreszcie zakukał dwa razy, a po przerwie trzy.

Spojrzeli na siebie. Czekali pełni napięcia. Ale nikt nie wyszedł na spotkanie piekarza. Nikt się nie odezwał, tutaj jestem. Paulina domyśliła się, że dopiero co usłyszane głosy nie należą do spisku. Oczekiwanie przedłużało się, Mietek poruszył zdrętwiałą nogą, trzasnęła gałązka, piekarz obrócił się szybko jak na sprężynie, wyraźnie zaniepokojony. Uszedł kilka kroków niby wracając. Znowu przystanął. Gruby piekarz znany był w Miasteczku z braku odwagi. Zawsze zgadzał się z każdym, przynajmniej w oczy. Nikt w Miasteczku nie słyszał, aby kiedykolwiek sprzeczał się z żoną. Tak, Franusiu, masz rację, kotku, to była cała ich rozmowa. Każde dziecko w Miasteczku wiedziało, że nie ma sensu prosić piekarza o słodką bułkę, gdy w pobliżu stoi pani Franusia. Tak więc teraz, skoro nie miał jej przy sobie, po prostu nie wiedział, co dalej. Drepcił i drepcił, aż wreszcie zaczął przesuwać się bardzo ostrożnie w stronę ambony.

— W Indianina się bawi — mruknęła Paulina.

— Etam — na to Mietek — hałasuje, jak dziki w buchcie...

Nagle znowu zamarł. Czekał długą chwilę, a okrągła łysa głowa kręciła się na wszystkie strony. Wreszcie postawił nogę na pierwszym szczeblu drabiny. Wtedy czyjś dziewczęcy głos powiedział do kogoś niewidocznego:

— Nie ma nikogo...

Paulina była pewna, że zna ten głos. Piekarz cofnął się raptownie w krzewy, jego wypolerowane kamaszki zatrzymały się opodal krawędzi wykrotu, omal przed nosem Mietka.

Mietek zjechał nieco niżej, nie tracąc wszakże widoczności na scenę wydarzeń. Trącił Paulinę łokciem.

Nad poręczą ambony ukazała się najpierw ruda głowa otoczona koroną warkocza. Potem niżej, druga ruda ze wstążkami. Ta z koroną wychyliła się w dół i sprawdziła jeszcze raz. Nie zauważyła piekarza, stał bowiem w krzewach.

— W porządku — powiedziała.

Buty piekarza poruszyły się i znowu zamarły. Liście kryły wprawdzie jego grubą postać, lecz wiedział, że zostanie niebawem odkryty, gdy tylko Ruda nadejdzie z ambony. Miecio patrzył na grube łydki. Miał ochotę położyć na nich chrząszcza, ale Paulina zgromiła go wzrokiem.

Najpierw zbiegła w dół mała ruda. Stanęła pod amboną, a matka jej spuściła ostrożnie na lince najpierw jedną wielką torbę, potem drugą. Zabrzęczało szkło. Potem ukazały się obie, spocone i potargane. Ujęły torbę za uchwyty. Małą aż wygięło.

Matka przyglądała się chwilę córce. Potem przeniosła wzrok na torby, z których wystawały szyje butelek. Wreszcie rozejrzała się szybko. Podjęła błyskawiczną decyzję. Cisnęła pierwszą butelkę w pobliski wykrot. Potem drugą.

Kamaszki piekarza zadrepciły w miejscu. Trzasnęły gałązki. Ruda obejrzała się raptownie za siebie.

— To pan? — spytała.

— Niech się pani opamięta — rzekł piekarz wychodząc z krzewów. Kroczył ku Rudej z ręką wyciągniętą jak karcący anioł. Przemawiał coraz śmielej, Ruda bowiem dla niego to był zupełnie nikt. — Pani chyba oszalała...

— Pomagaj pan, ale już! — przerwała mu Ruda i cisnęła trzecią butelkę w wykrot. Zabrzęczało rozbijane szkło. Ruda pochyliła się znowu nad torbą i teraz waliła szklanymi pociskami w dół coraz zacieklej, jakby walczyła z kimś...

Piekarz stał z otwartymi ustami, z ręką wyciągniętą ku Rudej, a kamaszki wrosły mu w mech.

— No, rusz się pan! — krzyknęła ruda. — Bo wezwę Franusię na pomoc!

Piekarz ruszył truchtem. Wziął się żwawo do roboty. Rzucali teraz na cztery ręce, bo ta mniejsza ruda wycofała się posłusznie pod drzewo. Piekarz pracował coraz szybciej, coraz trwożliwiej rozglądając się, czy aby nie nadbiega właściciel butelek.

Cdn.

dawno... niedawno...

Polska znów na mapie świata

14 listopada 1918 roku Rada Regencyjna rozwiązała się, przekazując pełnię władzy Józefowi Piłsudskiemu.

Jednym z pierwszych aktów Tymczasowego Naczelnika Państwa było powiadomienie rządów innych państw o powstaniu niepodległej Polski. W ten sposób nastąpił jakby formalny, zgodny ze zwyczajami międzynarodowymi powrót naszego kraju na mapę Europy i świata. Zarazem powrót symboliczny, bo przecież nie zostały jeszcze ustalone granice Polski. Charakterystyczne, że wśród państw — adresatów noty Józefa Piłsudskiego zabrakło rządu radzieckiego, podówczas nie uznawanego przez państwa Ententy. To lekceważenie największego sąsiada wyda niedługo gorzkie owoce...

Nota Naczelnika Państwa brzmiała dosłownie tak: *„Jako wódz naczelny armii polskiej pragnę notyfikować rządom i narodom wojującym i neutralnym istnienie państwa polskiego niepodległego, obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski.*

Sytuacja polityczna w Polsce i jarzmo okupacji nie pozwoliły dotychczas narodowi polskiemu wypowiedzieć się swobodnie o swym losie. Dzięki zmianom, które nastąpiły wskutek świetnych zwycięstw armii sprzymierzonych — wznowienie niepodległości i suwerenności Polski staje się odtąd faktem dokonanym.

Państwo polskie powstaje z woli całego narodu i opiera się na podstawach demokratycznych. Rząd Polski zastąpi panowanie przemocy, która przez sto czterdzieści lat ciążyła nad losami Polski — przez ustrój zbudowany na porządku i sprawiedliwości. Opierając się na armii polskiej pod moją komendą, mam nadzieję, że odtąd żadna armia obca nie wkroczy do Polski, nim nie wyrazimy w tej sprawie formalnej woli naszej. Jestem przekonany, że potężne demokracje narodu udzielą swej pomocy i braterskiego poparcia polskiej Rzeczypospolitej odrodzonej i niepodległej".

20 listopada w odezwie rządu Jędrzeja Moraczewskiego „Do Narodu Polskiego" — w odniesieniu do spraw międzynarodowych czytamy: *„Jako jedno z pierwszych zadań stawiamy sobie jak najprędsze nawiązanie i utrzymywanie przyjaznych stosunków z wszystkimi państwami. (...)*

Nasz stosunek do sąsiadów pragniemy oprzeć nie na gwałcie ani na dążnościach zaborczych, ale na wyrozumiałym uwzględnieniu wspólnych interesów, na polubownym, dobrowolnym załatwianiu kwestii spornych, na wzajemności tak samo nas, jak i naszych sąsiadów obowiązującej. Przemijających zatargów granicznych nie chcemy wyolbrzymiać w walkę nieubłaganych sąsiednich narodów wierząc, że demokracje Polski, Litwy, Białorusi, Ukrainy, Czech, Słowacczyzny, Węgier i Niemiec znajdą drogę wyjścia dla ustalenia współżycia wolnych i równouprawnionych narodów".

Paradoks historii chciał, że o granice II Rzeczypospolitej stoczono krwawe walki i że granice te uszczelniał mur wzajemnej niechęci i wrogości ze strony prawie wszystkich sąsiadów...

SZPERACZ

Redaguje LECH BĄK

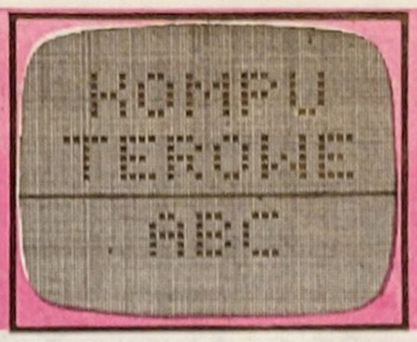

KROK OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

Jaki język? (cd.)

W rozważaniach na temat wyboru języka programowania omawiałem język przeznaczony do tworzenia gier przygodowych (adventure). Spośród wielu wybrałem ten, którego zastosowanie powinno Was najbardziej zainteresować. W poprzednim odcinku przedstawiłem struktury danych opisujące obiekty występujące w grze, czyli po prostu sposób definiowania aktorów, przedmiotów oraz miejsc, w których rozgrywa się akcja. Przypomnę, na jakie grupy zostały podzielone te struktury oraz jakie atrybuty można im przypisywać.

Podstawowa klasa obiektów (wszystkie pozostałe tu wymieniane będą jej podklasami) ma dwie cechy: położenie początkowe i aktualne.

Cały teren, na którym toczy się gra, podzielony jest na kilkanaście lub kilkadziesiąt „miejsc akcji" (w literaturze anglojęzycznej nazywa się to "location"). Atrybutami miejsc akcji są: lista przedmiotów, lista aktorów oraz lista przejść z danego sektora.

Połączenia pomiędzy miejscami akcji (przejścia) posiadają następujące własności: **"druga strona"** tj. dokąd można przejść; **"zamknięte"** tzn. określenie, czy przejście jest zamknięte, czy otwarte; **"blokada"** stwierdzenie zamknięcia drzwi na klucz lub ich otwarcia oraz **"rodzaj klucza"** do zdejmowania blokady. Z przejściem związane są również pewne zapisy mówiące o sposobach otwierania i zamykania, używania kluczy do blokowania i odblokowywania.

Podobnie jest z innymi obiektami. Przedmioty posiadają jedną cechę: możliwość przenoszenia. Oczywiście trzeba przyporządkować im jeszcze metody ich przenoszenia, a właściwie ich brania.

Aktorzy powinni mieć jako atrybut listę posiadanych przedmiotów. Oprócz tego trzeba określić sposoby i kierunki poruszania się aktorów, podejmowania i wyrzucania przedmiotów.

Do takich struktur danych należy wbudować odpowiednie funkcje i muszą być przewidziane odpowiednie operatory, pozwalające na łatwe posługiwanie się danymi. Np. potrzebna jest funkcja przyjmująca wartość aktualnej wartości cechy obiektu np. wiadomość, jakie przedmioty niesie **aktor** (lista przedmiotów jest cechą obiektu typu aktor). Potrzebna jest również jakaś prosta metoda tworzenia akcji wykonanych przez aktora lub dziejących się w pewnym sektorze. Takie akcje to oczywiście (z punktu widzenia programisty) zmiany atrybutów różnych obiektów, czyli główna część programu, oprócz której występuje jeszcze tylko obsługa pewnych procedur.

Powinniśmy również dysponować sposobem definiowania obiektów. Oczywiście są to tylko postawowe cechy takiego języka. Dla przykładu chciałbym Wam przedstawić kilka instrukcji występujących w tego rodzaju języku, abyście mogli to porównać z "normalnym" językiem programowania. Posłużę się językiem o nazwie AdvSys. Nazwa ta odnosi się do całego systemu utworzonego właśnie do tworzenia takich gier. Oto definicja miejsca akcji.

(location salon
(property
description „Jesteś w salonie n"
północ biblioteka
południe wejście
wschód jadalnia))

Powyższy przykład z niewielkimi zmianami został wzięty z pracy Davida Betza „An Adventure Authoring System". Oczywiście w przykładzie tym przetłumaczyłem wszystkie słowa oprócz kluczowych (tzn. należących do składni języka). Warto by wytłumaczyć znaczenie słów kluczowych. **Location** — to, jak zapewne pamiętacie, miejsce akcji; **property** — właściwości; **description** — opis. Taka definicja spowoduje, że jeśli aktor prowadzony przez gracza-operatora znajdzie się w miejscu **"salon"**, wówczas na ekranie pojawi się opis, czyli zdanie **"Jesteś w salonie"**. Jeśli pójdzie w kierunku północnym, to znajdzie się w bibliotece itd. Nie wiem, czy opis mój dał Wam wystarczające wyobrażenie tego, w jaki sposób można by pisać program gry przygodowej, ale spróbujcie sami stworzyć "prawie program", a właściwie scenariusz gry z kilkoma miejscami akcji (trzema lub czterema) z jak najmniejszą ilością aktorów i przedmiotów.

MONOKOLOR

DOKOŃCZENIE ZE STR. 8

sporo trudności. Ot, chociażby — że zatrzymam się przy banalnym przykładzie ze zdjęcia — skąd wziąć idealnie żółte pantofle?!

Dlatego też traktuję ten styl „monokolor" bardzo informacyjnie: po prostu — taka możliwość też istnieje. Jeśli któraś z Was po wygarnięciu wszystkiego, co ma w szafie i dokładnym tego przejrzeniu, dojdzie do wniosku, że byłaby w stanie zestawić sobie taki jednobarwny strój, to — namawiam do spróbowania. Sądzę, że warto również mieć ten pomysł na uwadze w momencie dokonywania jakichś zakupów odzieżowych, bo zdarzyć się może, że do pełnego „monokoloru" brakować będzie komuś zupełnie niewielkich uzupełnień. W końcu każda z rzeczy noszonych w „monokolorze" nie jest wcale do niego wyłącznie przypisana i każdą można nosić także w innych wariantach. W sumie więc — nie jest to nic szczególnego ten „monokolor". Tyle, że to coś innego i, przyznacie chyba — ładnego. Mnie przynajmniej bardzo się podoba.

RIUSZKA

Powrót weterana szos

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

— kosztuje ponad pół miliona zł. Jednak szybko przekonałem się, że oddawanie go „pod opiekę" filmowcom jest zupełnie nieopłacalne. Stawki są mizerne, a podatki drakońskie. Za dzień zdjęciowy dostaję taką samą stawkę jak za udostępnienie np. psiej budy czy kurnika! Poza tym po podpisaniu cyrografu o wynajmie dopuszczalne jest uszkodzenie pojazdu, jeśli wymaga tego scenariusz. W przepisach wspomina się wprawdzie o przywrócenie samochodu do stanu pierwotnego, ale tylko wtedy *„o ile z natury rzeczy będzie to możliwe"*. A przecież większość akcesoriów, to części unikalne. Ich zniszczenie jest więc niepowetowaną szkodą. Dlatego zrezygnowałem ze współpracy z filmowcami — pan Siudziński nie ukrywa, że jest oburzony takim niefrasobliwym traktowaniem zabytków kultury materialnej.

Na szczęście życie kolekcjonera ma także swoje blaski. Jak choćby sukces „Chryslera", który na międzynarodowym rajdzie starych samochodów wywalczył 3 miejsce. Koło Pojazdów Zabytkowych działające przy warszawskim Automobilklubie nadało mu tytuł automobilu roku. Takie chwile satysfakcji są dla pana Siudzińskiego najlepszą zapłatą za trud włożony w przywracanie wrakom ich dawnego blasku.

— Pracuję obecnie w Muzeum Techniki na pół etatu. Oczywiście miałem o wiele bardziej intratne oferty, mogłem produkować na przykład plastikowe grzebienie. Ale co z tego, jeśli nie pozostanie po nich żaden ślad. A po mnie zostanie przynajmniej kilka tych pięknych samochodów...

JUSTYN OPARA

UŚMIECH NUMERU

MĄDRALA i Iksiński stoją w ogrodzie zoologicznym przed klatkami dla słoni.

— Jak myślisz — pyta Mądrala — dlaczego te słonie mają takie wielkie głowy?

— Nie mam pojęcia...

— Dlatego, żeby się nie wydostały przez ogrodzenie...!

*

MĄDRALA w imieniu całej klasy odwiedził kolegę, który od kilku dni chorował. Nazajutrz zdaje klasie sprawozdanie:

— Stan beznadziejny! Pojutrze wraca do szkoły...

Jak przed tysiącami lat

Z portu Lavrion w Grecji wypłynęła sześcioosobowa załoga w ośmiodniową wyprawę przez Morze Egejskie. Tę liczącą 150 kilometrów trasę pokonują oni jak ich liczni poprzednicy sprzed dziesięciu tysięcy lat — na łodzi z papirusów.

Fot. **CAF**

„Zieloni" w akcji

„Zieloni" to ci, którzy walczą przeciwko zanieczyszczaniu środowiska. A jakże, ruch ten istnieje również w Polsce. Ale tym razem prezentujemy „Zielonych" z Belgii, którzy skutecznie zatkali wylot rurociągu, którym spływały odpady chemiczne z zakładów BASP w Antwerpii do wód przybrzeżnych.

Fot. **CAF**

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Telex 81-36-58.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42, **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-ca sekr. red. Lidia Wojciewska tel. 28-25-48, **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Ewa Kosińska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28. **Graficy:** Marlena Hanke, Szarlota Pawel i Magdalena Piotrowska. **Redaktorzy techniczni:** Wiesława Chmielewska, Grażyna Pajorkowska i Barbara Zając. **Kierownik korekty:** Barbara Boguszewska; korektorki: Maria Marasek i Irena Ochrymowicz.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49, wewn. 403. Cena ogłoszeń: 450 zł za 1 cm², 200 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.

Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

SKŁAD: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" — Warszawa
Zam. 4272/G/88. U-30.
DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" w Łodzi
Zam. 3525/88
Nakład 439 000 egz.

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 136 (4531)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-93214

KUBUŚ PIEKIELNY • Przeprowadzka

Tekst i rysunki
Szarlota Pawel

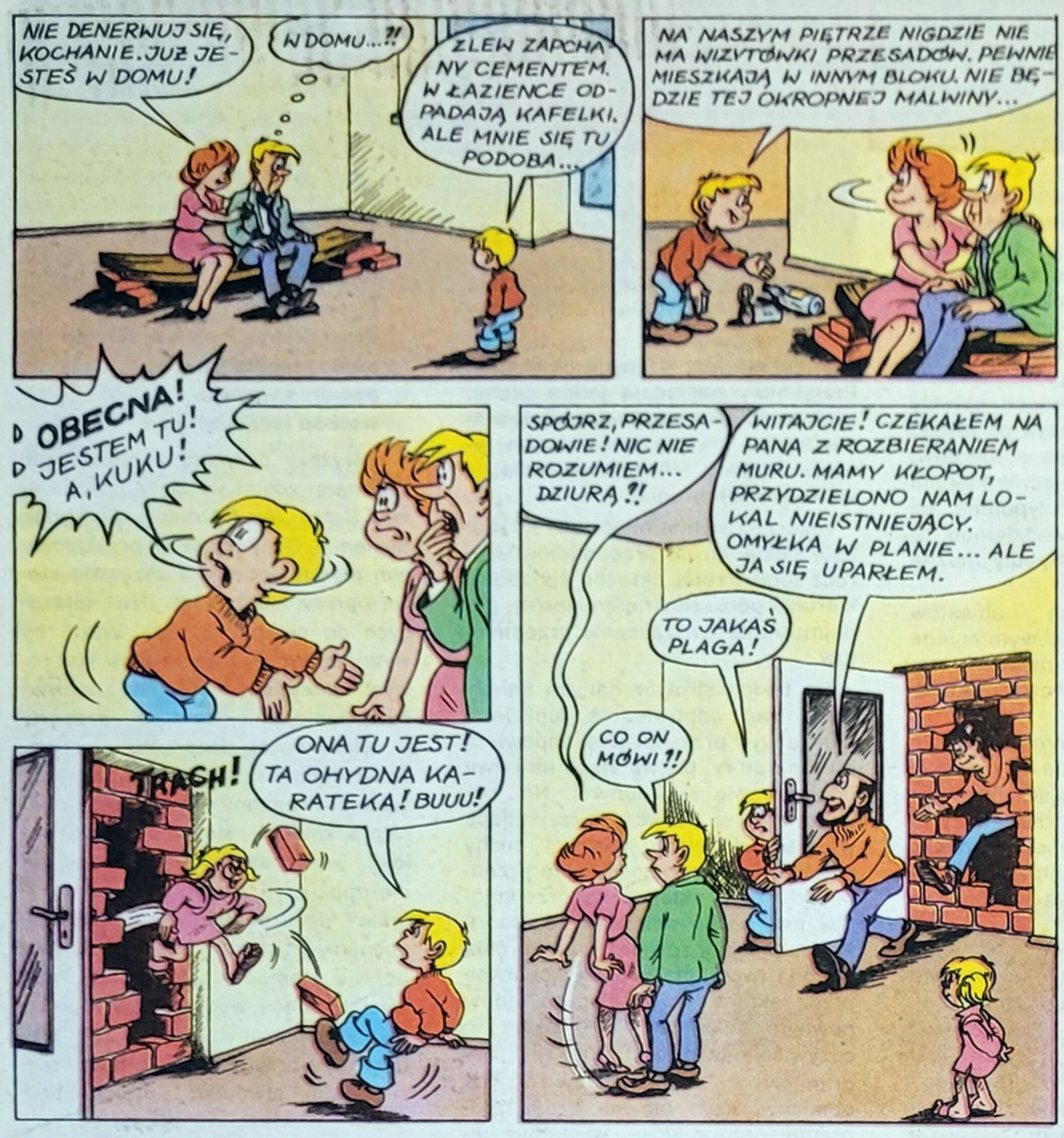

Jeden monokolor znamy bardzo dobrze, ten zatytułowany ,,młoda wdowa'' czyli styl ubierania się w same czarne ciuchy. Czarne pantofle, czarne rajstopy, czarna spódniczka, czarny sweter, czarna kurtka... I tak dalej. Ciągle jest to bardzo modne i — nie powiem, młoda osoba wygląda w takiej żałobie szalenie... tajemniczo. Czyli efekt jest, na pewno. Ale z drugiej strony jest i efekt dodatkowy, że w sumie jest to sposób ubierania się bardzo smutny. Zwłaszcza gdy zleci się takich czarnych kruków naraz całe stado. Wtedy nic, tylko się rozpłakać, jeśli trafi to na kogoś wrażliwszego.

Można jednak uprawiać styl monokolorowy i bez tego zasmucającego efektu dodatkowego. W najnowszych żurnalach są całe stronice takich monokolorowych (inaczej mówiąc — utrzymanych w jednym i tym samym kolorze) pomysłów. Jako, przypuszczam, rodzaj odtrutki duchowej na tę wszechogarniającą czerń. Na zdjęciu przedstawiam dwa warianty — żółty i czerwony, ale może być ich znacznie więcej, tyle, ile istnieje kolorów. Zasada jest superprosta — wszystkie rzeczy, które się ma na sobie, są utrzymane w tym samym kolorze. Tak jak i w stylu na ,,młodą wdowę''.

O ile jednak czerń jest bardzo jednorodna i wszystkie czarne ciuchy zlewają się optycznie w jedną całość — nie widać z paru metrów, gdzie kończy się spódnica, a gdzie zaczyna sweter — o tyle inne kolory stwarzają znacznie większe możliwości, bo można zestawiać ze sobą ciuchy o różnym natężeniu barwy — jaśniejsze i ciemniejsze.

Nie jest to, oczywiście, łatwe. Trzeba mieć i bardzo wyostrzone poczucie barwy (z czarnym to nie jest zupełnie potrzebne), i — trzeba mieć odpowiedni zestaw ciuchów w jakimś wybranym kolorze, a ich kompletowanie może nastręczyć

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

LOTUS ESPRIT TURBO

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Angielska firma samochodowa Lotus specjalizująca się wyłącznie w budowie samochodów sportowych założona została w 1952 roku. Od tego czasu na drogach nie tylko w Anglii pojawiło się wiele ciekawych i ładnych pojazdów sportowych, lecz sławę firmie przyniosły przede wszystkim samochody wyścigowe Formuły 1. Jeszcze dzisiaj wyścigowe Lotusy, wyposażone już w japońskie silniki Hondy, odnoszą sukcesy sportowe, chociaż ostatnio prym w tych wyścigach wiodą McLareny produkowane również w Anglii.

Firma ta na początku lat osiemdziesiątych bliska była bankructwa i dopiero jej nabycie przez potężny koncern północnoamerykański General Motors, spowodowało jej utrzymanie na liście producentów samochodów.

Najważniejszy produkt firmy stanowi aktualnie LOTUS ESPRIT TURBO, którego konstrukcja powstała w 1975 roku, a obecnie została zmodernizowana. Zmodernizowany LOTUS ESPRIT TURBO w stosunku do swego pierwowzoru otrzymał nadwozie o bardziej zaokrąglonych kształtach. Jest on pojazdem bardzo niskim, mieszczącym w swym wnętrzu tylko dwie osoby na pojedynczych fotelach oddzielonych od siebie wysokim tunelem. Siedzenia te posiadają mocno pochylone oparcia tak, iż podróżujący tym samochodem zmuszeni są do zajmowania pozycji co najmniej półleżącej. Do gatunku luksusowego wyposażenia wnętrza należy tapicerka, która wykonana jest z naturalnej skóry.

Nadwozie Lotusa wykonane jest z tworzyw sztucznych, z przodu wyposażone w duży zderzak, wkomponowany harmonijnie w bryłę tej części nadwozia. Lampy świateł reflektorów znajdują się we wnękach zakrywanych klapami. Tył nadwozia znacznie wydłużony również posiada wkomponowany w bryłę duży zderzak, w górnej części zaś został umieszczony spoiler wykonany w postaci poziomego statecznika.

Pomimo takiego ukształtowania nadwozia samochodu, pojazd ten charakteryzuje się dość wysokim współczynnikiem oporu aerodynamicznego c_x wynoszącym 0,36. Warto przy tej okazji wspomnieć, że taką wartością cechuje się nowa SKODA FAVORIT.

Silnik w LOTUSIE ESPRIT TURBO umieszczony jest w pozycji centralnej, tuż za oparciami siedzeń. Napęd od niego przenoszony jest na tylną oś.

Silnik ten jest jednostką czterocylindrową, o rzędowym układzie cylindrów, chłodzony cieczą, szesnastozaworową, a więc z czterema zaworami przypadającymi na każdy cylinder. Posiada on pojemność roboczą 2174 cm sześc., z której przy stopniu sprężania 8,0:1 oraz zastosowaniu turboładowarki typu Garrett T 3 osiąga moc 160 kW (218 KM) przy 6000 obr./min.

Przenoszenie napędu odbywa się za pośrednictwem hydraulicznego sprzęgła i 5-przekładniowej, mechanicznej skrzyni biegów.

Hamulce przy wszystkich kołach są bębnowe, jest to niezbędne, gdyż szybkość maksymalna tego samochodu wynosi 250 km/h.

LOTUS ESPRIT TURBO przy prędkości 200 km/h, którą dość łatwo rozwija, spala od 15 do 17 litrów paliwa na 100 km.

KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

Sebastian Zelisko, Turka, 21-005 Wólka Lubelska, poszukuje prospektów oraz katalogów samochodów osobowych i ciężarowych i motocykli produkcji japońskiej. W zamian oferuje kolorowe zdjęcia samochodów, plakat Formuły 1, adresy do firm motoryzacyjnych, czasopisma ,,Motor Review'', względnie zapłaci gotówką.

Mariusz Cygan, Bienkowice 19, 32-410 Dobczyce, poszukuje prospektów samochodów marki Daihatsu i Porsche oraz motocykli Yamaha i Kawasaki. Do odstąpienia posiada prospekty Audi, Suzuki, Mercedesa i innych samochodów, znaczki pocztowe, naklejki firm samochodowych.

Anna Maćczak, ul. Książęca 9/1, 58-560 Jelenia Góra, odstąpi adresy różnych firm z całego świata, w zamian za prospekty samochodów i motocykli oraz adresy do firm samochodowych.

ZENON DUTKIEWICZ